Roman Tuszowski

Powroty z ZSRR.

I.

Zbliżenia natury wyłącznie politycznej, nie oparte na bliższym ideowym i kulturalnym pokrewieństwie, powstałe z nakazu chwili, którą nie zawsze trafnie rozumieją ministerialne kancelarie — nie mogą być trwałe, bo mijają razem z koniunkturą. I często wywołują niesmak, jak to się dzieje w wypadku przebrzmiewającej już sielanki francusko - sowieckiej. Bliższe poznanie często dzieli zamiast łączyć, nawzajem prawione sobie czułości potęgują tylko gorycz rozczarowania, odwiedziny, pełne najlepszych chęci, sprawiają, że powroty stają się tym boleśniejsze Stosunek Rosji do Francji, poza miodowymi latami przedwojennego przymierza, kupionego za trzydzieści miliardów, stale był negatywny. Świadczy o tym cała literatura rosyjska od Puszkina i Lermontowa począwszy poprzez słowianofilow, Dostojewskiego i Tołstoja, a kończąc choćby na Erenbergu i innych mniej lub więcej oficjalnych sowieckich pisarzach. Francuskie wypowiedzi o Rosji wprawdzie rzadsze dawniej, bardzo wzrosły liczebnie od czasów rewolucji, ale i one ostatnio mało przypominają pogodne i dobroduszne russiana pani de Segur, nee Rastopczyn. Natomiast bardzo wiele wspólnego mają one z pewną francuską książką, dziś zapomnianą, a która w połowie ubiegłego wieku narobiła wiele hałasu w Europie. Mam na myśli opis pobytu w Rosji — reportaż po dzisiejszemu — napisany przez markiza de Custine, zagorzałego legitymistę, nieprzejednanego arystokratę, syna i wnuka ofiar gilotyny, który jechał do Petersburga, jak do Mekki absolutyzmu. Ale znalazł tam despotyzm o cechach wschodnich, pogardę dla godności i wartości człowieka, ustrój, będący zaprzeczeniem wszystkiego, co jako człowiek Zachodu nauczył się cenić.

II.

A więc przede wszystkim najsławniejszy z nich — świetny pisarz, autor książek o największych nakładach, sceptyk-intelektualista, który w swej globtroterskiej wędrówce po świecie idei zatrzymał się na pewien czas przy komunizmie — Andre Gide jednym słowem. Swoje wrażenia z paromiesięcznego pobytu w Rosji opisuje w głośnej dziś książce „Powrót z ZSRR."[1]) Nie przynosi ona rzeczy specjalnie nowych, nie usiłuje dać pełnego obrazu Rosji Stalinowskiej, nie będzie żadnym specjalnym ewenementem dla polityków i czytelników gazet

Gide'a interesuje tylko człowiek — ekonomika i polityka o tyle, o ile odbijają się na twarzach ludzi, z którymi się styka, w wyglądzie przechodniów, których ogląda na ulicy. O stanie zaopatrzenia miast sądzi nie z cyfr i sprawozdań statystycznych, lecz z ilości i długości ogonków przed sklepami, o jakości produkcji z wnętrza magazynów. Te wnętrza wydały mu się okropne: — towary, w złym gatunku i jeszcze gorszym guście, zamiast nęcić odstręczają od kupna — może nawet celowo, byle tylko ograniczyć popyt i tak o wiele przewyższający podaż. I w tym miejscu Gide lojalnie stwierdza, że ustrój kapitalistyczny ma pod tym względem przewagę, bo wywołując konkurencję, zmusza producentów do liczenia się z gustami publiczności. Wychwala ogrody dziecięce i place sportowe, ale równocześnie spotyka dzieci „bezprizorne", bez domu i bez opieki, włóczące się bandami po przedmieściach i gorzej przez policję strzeżonych dzielnicach miast południowej Rosji. Odkrywa kontrasty, które oficjalny reżym najchętniej zachowałby w ukryciu. Zachwyca się młodzieżą komsomołów, defilującą podczas uroczystości w zwartych szeregach przed Stalinem, ale codzienny tłum moskiewski wydaje mu się przygnębiająco jednostajny w swym ubóstwie. Właściwie dopiero tu widać rezultat równania społecznego — to równanie w dół w pojęciu człowieka Zachodu — dopiero tu, na ulicy ma się przejściowy, optyczny tylko obraz społeczeństwa bezklasowego, którego urzeczywistnienie napotyka w Rosji na coraz większe trudności. Patrząc na ten szary tłum, na jego apatyczność i jednostajność w stroju, przyjść musi niepokojąca refleksja, czy te jednakowe, z góry wszystkim narzucone potrzeby, nie wywołują czasami takiej samej monotonii w umysłach?

Książka jest przede wszystkim krytyką człowieka rosyjskiego — Gide nie oskarża doktryny. Zło, jakie dzieje się w Rosji, winien jest Stalin, winni jego mniej lub więcej szczerzy czciciele i wyznawcy, winien prosty człowiek, chłop i robotnik, którego nie zdołała przerobić nawet rewolucja. Pozostał tym samym biernym, dającym się powodować, mało produktywnym i bezwolnym, jakim był za caratu, jakim wyszedł z tatarskiej niewoli. By go pobudzić do pracy, by podnieść jego wydajność, by go uwspółcześnić i podciągnąć do maszynowego tempa dzisiejszej cywilizacji, używa się dziś tych wszystkich mądrych i wyszukanych sposobów, jak tajloryzm i standaryzacja, które w państwach kapitalistycznych potępiane są jako najgorsze środki wyzysku robotnika, a tu uważane za najświetniejszą zdobycz rewolucji. Praca akordowa, cały tak rozleklamowany ruch „stachanowski" z jego skomplikowanym systemem premiowania nadwyżek wytwórczości — to wszystko rozpaczliwe i jak dotąd nadaremne próby uaktywnienia biernej masy rosyjskiej.

[1]) A. Gide: Powrót z ZSRR. Rój, 1937.

Tak przedstawia się sprawa w oczach intelektualisty, komunizującego pisarza Zachodu. Jest to zagadnienie podstawowe, od którego rozwiązania zależy odpowiedź na pytanie — czy rewolucja w Rosji nie jest tragiczną pomyłką? Tej odpowiedzi Gide szuka, ale jej jeszcze nie znajduje — tymczasem wywiózł stamtąd jedną cenną zdobycz: sceptycyzm, który dotąd stosował wyłącznie do przejawów tak zwanej kapitalistycznej cywilizacji. Gdy mu w pewnej fabryce sprezentowano młodego „udarnika", szturmowca którejś tam z kolejnych piatiletek, który w ciągu ośmiu godzin zdołał wykonać pracę pięciu dni. Gide zapytał swych informatorów, czy nie pochodzi to stąd, że człowiek ten robił poprzednio przez pięć dni, co powinien był zrobić w ciągu ośmiu godzin — ale zbyto go tylko milczeniem.

Cóż widzi jeszcze, co dostrzega? Obok kołchozów bogatych i faworyzowanych, obok kołchozów na pokaz, natrafił na ubogie, nie mogące związać końca z końcem — i napewno takich jest więcej. Razi go zupełna jednostajność mieszkań członków kołchozu, ich zupełna bezosobowość — można by je niepostrzeżnie powymieniać i niktby się nie połapał. Ale czy tę depersonalizację, ku której wszystko skłania się w Związku Sowieckim, można nazwać postępem? — Gide nie chce w to wierzyć. A mimo to robotnik rosyjski wydaje mu się szczęśliwy. Dlaczego? — Bo nic nie wie o lepszym życiu. I aby utrzymać go w tej uszczęśliwiającej niewiedzy, reżym sowiecki odciął go zupełnie od świata, karmi go najfantastyczniejszymi wiadomościami o zagranicy. Wszystko idzie tam rzekomo dużo gorzej, niż w Związku, i każdy sowiecki obywatel czuć się powinien szczęśliwy, że mieszka tu, a nie w kapitalistycznym piekle, powinien dziękować za to Stalinowi i bolszewickiej partii. Do tego dołącza się podsycany oficjalnie kompleks wyższości i właściwe Rosjanom samochwalstwo, które wytykał już Gogol w „Martwych duszach". Gide'owi zadawała młodzież osłupiające pytania — naprzykład, czy we Francji są tramwaje i autobusy, a gdy im odpowiedział, że Paryż ma też swoje metro, patrzono nań z niedowierzaniem Jakiś robotnik zagadnął go, czy Francuzi także mają szkoły, a inny, lepiej poinformowany, wtrącił, że szkoły to Francuzi mają, ale że biją w nich dzieci.

Ale co najwięcej zabolało Gide'a, co najmocniej nim wstrząsnęło, jako człowiekiem Zachodu, to niewolnictwo myśli i słowa. O tych rzeczach mówi z największą goryczą. Samodzielne myślenie jest w Rosji przestępstwem politycznym i jako takie jest potępione. Każdy lojalny sowiecki obywatel rozumować musi tak, jak nakazuje góra rządząca, jedyny autorytet nieomylny i wszechwiedzący. Każde odchylenie od oficjalnej „linii" grozi represjami. Gdy przyszła wiadomość o wybuchu powstania w Hiszpanii, Gide ze zdziwieniem stwierdził, że nikt z otaczających go Rosjan nie chciał się wypowiedzieć w tej sprawie i dzielić z nim głośno sympatii dla rządu madryckiego. Dopiero potem zrozumiał, że czekano na artykuł Prawdy, który by nadał zdarzeniom oficjalne naświetlenie i wskazał, jak się na sprawy zapatrywać należy.

A ponad to Gide'a - europejczyka razi bałwochwalczy kult Stalina, który napotyka na każdym kroku, zaprzęganie sztuki do utylitarnych, wychowawczych i politycznych celów, co katastrofalnie obniża jej poziom. Gide'a - socjalistę boli zanik równości społecznej i narastanie nowej rewolucyjnej arystokracji, panoszącej się z parweniuszowską bezwzględnością. I gdy w konkluzjach widzi, jak daleko obecny stan rzeczy odbiegł od pierwotnych założeń leninizmu, ile z uzyskanych już zdobyczy trzeba było poświęcić dla oportunistycznych celów — zadać musi sobie pytanie, czy krew i łzy nie napróżno zostały przelane i czy pierwotne, na początku postawione sobie cele były do osiągnięcia — czy nie przekraczały sił ludzkich? I już samo postawienie takiego pytania jest kapitulacją.

III.

Z książką Céline a[1]) wchodzimy w inny zupełnie świat — w świat gniewu i oburzenia. Tu już ani śladu refleksji, spokojnej obserwacji, analizy zjawisk. Najmniejszego starania o jakikolwiek obiektywizm, o jakikolwiek sąd. Te dwadzieścia kilka stronic, które Céline poświęcił Sowietom, są zbiorem przekleństw, wymysłów i inwektyw, są krzykiem, jaki wydobywa z siebie człowiek głęboko zraniony. Z tym już polemizować nie można, bo bólu nie da się przyciszyć żadnym argumentem. Tu wszystko przyjąć trzeba tak, jak jest: inteligent - proletariusz, wykolejeniec wielkiej wojny, nędzarz, przyczynę swej nędzy i duchowego upodlenia widzący w ustroju kapitalistycznym, po zwiedzeniu Związku Sowieckiego bije się w piersi, woła „mea culpa" i pisze coś, co nie jest ani satyrą, ani paszkwilem, lecz gestem najwyższego oburzenia — splunięciem.

Bo przecież Céline to autor głośnej „Podróży do kresu nocy", gdzie niemal w dantejskich kolorach odmalował dekadencję kapitalistycznego świata, to podnoszący się z dna nędzy wykolejeniec, to lekarz-apostoł nizin społecznych. Jego nie można posądzić o pięknoduchowstwo, o przeczulenie czy doktrynerstwo. On, dla którego był był dotąd tylko nocą, jak nikt zna się na życiu, wie czym ono jest i czym być może, poznał jego najniższe upadki i trudno go czymś wzruszyć lub zadziwić. I jeśli właśnie on zareagował w ten sposób na wszystko, co mu pokazano w raju komunistycznym, to znaczy to zapewne, że nie znalazł tam, czego szukał, lecz coś bardzo chyba dalekiego od swych ideałów, czego najmniej pragnął i najmniej się spodziewał, a co nim wstrząsnęło do głębi.

Enuncjacja Céline'a może kogoś nie przekonać, ale musi zrobić na każdym wrażenie — jest w niej sama bezpośredniość, gniew, a przede wszystkim pogarda. Ma się wrażenie, że te stronice inwektyw wypowiedziane zostały pod naciskiem jakiegoś potężnego psychicznego urazu, jak najspieszniej, jak najdosadniej — byle prędzej się tylko uwolnić od koszmarnego kompleksu, który gniecie, który zabija. Nieważne są te urywkowe dane, jakie tu i ówdzie rzuca jednym tchem razem z okrzykami oburzenia, — że tak i owak, że z wyzyskiem robotnika nie jest lepiej w Sowietach, niż u Forda, że prócz reprezentacyjnego szpitala na Kremlu, inne są nędzne, brudne i żyją jedną dziesiątą normalnego budżetu — zresztą jak wszystko w Rosji prócz policji, propagandy i wojska, — że inżynier zarabia 7.000 rubli miesięcznie, a służąca tylko 50, podczas gdy zelowanie bucików kosztuje aż 80 — o tym wszystkim wiemy już dawno skądinąd. Nieważny jest też stopień przygotowania autora, nie znaczy nic, że słynne powiedzenie Moleschotta: „Der Mensch ist was er ist" w pośpiechu przypisał Engelsowi — bo nie o poziom intelektualny tu chodzi. Chodzi tu właśnie o coś wręcz przeciwnego — o reakcję, jaką rzeczywistość sowiecka wywołuje u człowieka, który więcej przeżył i przecierpiał w życiu, niż przemyślał, u proletariusza, dla którego robiono tę właśnie rewolucję i który w niej, a nie gdzie indziej miał znaleźć swą ojczyznę. Najważniejszym jest osiągnięcie, — że nie znalazł w niej kresu nocy, którego szukał.

IV.

A teraz realista - polityk, człowiek trzeźwy, który złudzeń nie przechowuje zbyt długo i, zawiedziony, nie daje się złamać, lecz walczy. Jacques Doriot, dawniej persona grata na Kremlu, towarzyszy Thoresa i Cachin'a, wodzów przyszłej francuskiej rewolucji, jest założycielem pierwszego we Francji stronnictwa, które ma w swym programie walkę z komunizmem. Ma to swoją przekonywującą wymowę: — ten były sztabowiec Trzeciej Międzynarodówki teraz jej najzacniejszym wrogiem — wymowę niedwuznaczną i tym boleśniejszą dla przeciwnej strony, że podobnego rodzaju dezercje zaczynają się powtarzać coraz częściej i to spośród najlepszych

Doriot, człowiek walki i czynu, wiedząc, że atak bywa najlepszą obroną, wydał książkę[1]), która nie tylko ma być usprawiedliwieniem jego odstępstwa, ale równocześnie przynosi najcięższe zarzuty w stosunku do francuskiej partii komunistycznej i jej wodzów. A zarzuty te są tego rodzaju, że specjalnie zadrasnąć muszą ambicję przeciętnego Francuza. Już sam tytuł książki: „Francja nie będzie krajem niewolników" jest wyznaniem i potrąca o pierwszy, najważniejszy człon republikańskiej dewizy. Francuz, trzeźwy i praktyczny, zrezygnował dawno z równości, na wzmiankę o braterstwie uśmiecha się sceptycznie, — ale wolności bronić będzie i wydrzeć jej sobie nie da. Zwłaszcza jeśli tymi, którzy go mają ujarzmić, są emisariusze obcego mocarstwa — bo to jest właśnie tezą książki. I musimy przyznać, że autor dowodzi jej przekonywująco.

Łatwo się domyśleć, że chodzi tu o taktykę Kominternu w wewnętrznych rozgrywkach politycznych Francji. Kierowany centralistycznie, jedną wolą i jedną myślą, zdolny jest do ekwilibrycznych zwrotów, do nagłej zmiany frontu, w zależności od celów, jakie sobie stawia w danej chwili naczelne kierownictwo partii. Na rozkaz, jadnym wojskowym zwrotem przeszli komuniści francuscy z hasła walki klas na hasła frontu ludowego — i to w najszerszym pojęciu tego słowa. Odstąpiono od podstawowych postulatów programu komunistycznego, byle tylko umożliwić powstanie takiego frontu, nie zrazić liberalnych radykałów i drobnomieszczańskich socjalistów. Sięgnięto jeszcze dalej — aż ku prawicy, jeśli tylko zdradzała antyfaszystowskie nastroje. Każdy sprzymierzeniec był dobry, o ile nie nosił w sercu pułkownika de La Rocque i jego Krzyżów Ognistych. Ale myliłby się, kto by myślał, że chodzi tu wyłącznie o zabezpieczenie Francji przed faszyzmem — chodzi tu o plany znacznie szersze, obejmujące horyzonty polityki światowej.

Doriot kreśli je ze znawstwem człowieka, który przez dłuższy czas sam asystował bezsilny ich powstaniu. Przez długie lata walczył, jako czynny członek francuskiej partii komunistycznej z centralistycznymi wpływami Moskwy, która stworzyła sobie z niej posłuszne narzędzie dla swych własnych egoistycznych celów, nie mających nic wspólnego z interesem francuskiego proletariatu. Walka ta okazała się daremną, moskiewskie wpływy przemogły w sposób ostateczny i dziś Stalin jest nie tylko dyktatorem na Kremlu, ale i w wewnętrznym życiu politycznym Francji odgrywa poważną rolę. Plany Kominternu i Stalina idą dziś w jednym kierunku: — zabezpieczenia Rosji przed atakami faszyzmu niemieckiego. Francja, opanowana przez stronnictwa frontu ludowego — sami komuniści są jeszcze do tego za słabi — ma służyć tylko jako narzędzie w tym celu.

Obsadziwszy swymi zaufanymi wszystkie kierownicze stanowiska we francuskiej komunistycznej partii, Kreml w stosunku do innych zastosował metodę knebla. Wyeliminowano z organizacji wszelkie demokratyczne tendencje — wolność myśli, wolność wypowiedzenia się w prasie, czy na zgromadzeniach. A gdyby pomimo to zdołała się uformować jakaś orientacja, nie będąca na rękę kierowniczej bolszewickiej frakcji, wówczas wypowiada się jej bezwzględną walkę — kieruje nią Moskwa, a prowadzi bezpośrednio zespół służalczo zaprzedanych funkcjonariuszy partyjnych, chciwych awansu.

Ale obok tej walki ideologicznej stosuje się też środki materialne. Stalin zrozumiał, że ani pociągająca siła idei, ani jego własny wielki autorytet nie wystarczą, by utrzymać w posłuszeństwie funkcjonariuszy francuskiego komunizmu — wiedział, że najlepiej zjednoczy i scementuje partię pieniądz. I odkąd w swej naiwności komuniści francuscy przyjęli w imię solidarności międzynarodowej rosyjskie subwencje — odtąd poczuli na sobie ucisk obcej ręki.

Rzecz zrozumiała, że i naczelny organ francuskiej partii komunistycznej tą samą drogą znalazł się w rękach rosyjskich bolszewików. „L'Humanité" jest tak bardzo od nich zależna, że coroczną kontrolę jej finansów i administracji przeprowadza towarzysz Piatniski, sekretarz i skarbnik Kominternu. Przechowywał nawet u siebie większość akcji dziennika.

Międzynarodowy komunizm — pisze Doriot — przeobraził się z niezależnego ruchu rewolucyjnego w posłuszne narzędzie sowieckiej polityki zagranicznej. Jedna tylko rosyjska sekcja Trzeciej Międzynarodowki nie słucha niczyich rozkazów — ale bo to ona właśnie jest kierowniozą władzą komunizmu światowego. To ona kontroluje wszystko, wgląda wszędzie, sama przed nikim nie zdając sprawy. To jej służyć mają wszyscy, a ona tylko sobie, uchodząc wciąż jeszcze za uosobienie zbiorowych interesów światowego proletariatu.

Swoje zarzuty sformułował Doriot w siedmiu pytaniach i ogłosił — lecz nie otrzymał odpowiedzi. Z początku prasa komunistyczna przemilczała to jego wystąpienie, nie chcąc mu dawać rozgłosu. I dopiero gdy te wyrachowania zawiodły, gdy bardziej poczytne pisma zaczęły przedrukować treść drażliwych pytań, dopiero wtedy „L' Humanité" replikowała, a jednego z redaktorów pozwano do sądu za oszczerstwo. Wybór padł na pana de Kérillis, redaktora ultra-prawicowego pisma „l'Echo de Paris". Tym taktycznym posunięciem chciano skompromitować Doriota wobec radykalnych mas, przedstawić go, jako sprzymierzeńca reakcji i faszyzmu. Ale żadne konkretne wyjaśnienia nie padły ze strony władz partii komunistycznej. Propozycję, by wyłonić specjalną komisję, złożoną z mężów zaufania sfer robotniczych, dla zbadania słuszności stawianych przez Doriota zarzutów, zbyto milczeniem. Nie odpowiedziano na pytania. postawione jasno i po męsku — musi więc być w tych zarzutach zbyt wiele niewygodnej prawdy.

Tymczasem walka trwa w całej pełni, komunizm pod przykrywką frontów ludowych działa wszędzie, a zwłaszcza we Francji jego ofensywa przybiera coraz ostrzejsze formy. Lecz w miarę wzrostu natężenia tej walki coraz liczniejsi zapewne będą ci, którzy za przykładem Doriota postawią te same pytania i, nie otrzymawszy odpowiedzi, wyciągną te same konsekwencje.

V

I wreszcie kolej na książkę rozważną i mądrą, usiłującą głębiej sięgać w istotę, rolę i znaczenie tych światopoglądów, tych filozofii i wychowawczych metod, które wyprowadziły obecne powojenne pokolenie na bezdroża, pchnęły ku Moskwie i w pełni są odpowiedzialne za owe mnożące się dziś, tragiczne, wykolejeńcze „powroty". Jest nią głośna już dziś „Szkoła renegata" Jeana Fontenoy[1]) — debiut autorski, a równocześnie spowiedź pełna skruchy i oskarżenie pełne gorących protestów.

Sensacyjny posmak ma ta książka dzięki temu, że głównym w niej oskarżonym jest nie kto inny, tylko André Gide — właśnie André Gide, ten „powracający" z Moskwy, zawiedziony intelektualista. Za to, że sam się zawiódł, odpowiada tylko przed sobą, ale za to, że wskazał drogę wszystkim tym, którzy słowa biorą na serio, a każdą teorię chcą kontrolować w życiu — za to wziął odpowiedzialność przed całym pokleniem. I teraz ludzie, którzy wracają stamtąd rozbici, rozczarowani, rozgoryczeni, nie znalazłszy tego, po co ich posyłano, żądają zadośćuczynienia od tych, którym uwierzyli na słowo z racji ich głośnego nazwiska. W imieniu tych zawiedzionych zabiera głos Fontenoy — w osobie Gide'a oskarża doktrynę, światopogląd, szkołę.

Rzecz wykłada od dalekich, sielskich początków, od dzieciństwa, spędzonego w rodzinnej wsi w Gatinais. Było monotonne, smutne i ubogie, ale pomimo to nie było nieszczęśliwe. Ze wzruszeniem wspomina skromne akcesoria tego dziecińśtwa — ową „jajatte", która była tylko kartoflami na słoninie, pieśni z tekstem, poprzekręcanym bez sensu, ludzi prostych, milczących, żyjących wyłącznie rutyną, jakżeż cenną dla tych przede wszystkim, którzy niewiele mogą się w życiu spodziewać nawet od najśmielszych nowatorstw. Nie czekając wiele od życia, ludzie z Brie i Gatinais brali to, co im los zsyłał, i „nigdy, przysięgam, nigdy nie słyszałem" — pisze Fontenoy — „by moi starzy skarżyli się na skromną cząstkę, jaka im w udziale przypadła. Zaprawdę, nie byli bardziej nieszczęśliwi od Kellerów, od panów Henry i Leon" — właścicieli okolicznych folwarków. „Nie wiedzieli nic o uciskającej ich ekonomii. Byli — cóż? — biedni? nieszczęśliwi? Nie!" Wszelka inicjatywa, każde nowatorstwo przyjmowano w tym świecie z największą nieufnością, wiele mówiącym, podejrzliwym milczeniem. „Agent ubezpieczeniowy, nauczyciel, proboszcz lub lekarz „modernista" wywoływali ten sam odruch sprzeciwu. Przypominam sobie około 1909 roku proboszczów „społeczników" i okiennice, zamykające się za ich nadejściem. Wszystko odbywało się podobnie jak w liceum, gdy któryś z uczniów ośmielał się przybierać ton, deklamując bajkę. Pękaliśmy ze śmiechu". To nastawienie psychiczne, strzegące wewnętrznego spokoju tych ludzi, było powszechne. Inni, którzy opuścili wieś w poszukiwaniu zmian i lepszego losu, stracili ten spokój. „Są teraz na kolei, przy metro, na poczcie i przy telegrafie" — mówi o swych rówieśnikach Fontenoy. — „Bogatsi? — tak. Pewniejsi siebie? — tak. Nieszczęśliwsi? — tak".

Ten świat zamknięty w sobie, zrównoważony duchowo i samowystarczalny unikał wszelkich obcych kontaktów, a w razie zetknięcia się z przybyszem nie znajdował słów porozumienia i nieufnie milczał. Poborca, nauczyciel, proboszcz, lekarz — ludzie nie mający bezpośrednich zwierzchników nad sobą, wolni od widzialnego nacisku dwóch dyscyplin: głodu i chlebodawcy — byli takimi przybyszami. Toteż nie znajdywano wspólnego z nimi języka i towarzyszyły im zawsze podejrzliwość i kłopotliwe milczenie. „Francja zdycha, naród zdycha, bo rządzą nim ludzie, gadający dla przyjemności, dla zysku i zalewają słowami innych ludzi, którzy m ó w i ć n i e m a j ą o d w a g i" — woła Fontenoy i cała jego książka jest oskarżeniem przeciw tym „gadającym" ze strony przedstawiciela tych, którzy już dłużej milczeć nie chcą.

Jaką drogą doszedł do tego protestu? Zaczęło się od przeszkolenia republikańskiego. Polegało ono na wytrzebieniu w adeptach wszystkiego, co wpoiły w nich rodzina, rodzinna wieś, rodzinne środowisko. „Patriota religijny, trochę mistyk, szanujący formy, szanujący siwe włosy, obojętny na to wszystko, co mnie nie do tyczyło bezpośrednio (rząd, bogacze, bankierzy, przemysł itd.) żyłem dobrze, na sposób mych przodków, w niewymuszonym posłuszeństwie i spełniając ustalone poza mną obowiązki" — pisze o sobie Fontenoy. Takim wyszedł ze swojej wioski w świat, dostał się do szkoły — i to, co wyniósł stamtąd, miał tu zostawić, odrzucić jako balast przesądów, dziedzictwo obskurantyzmu. Ćwiczono go w kulcie inteligencji — inteligencja miała być wszystkim, miała zastąpić cały ten zasób zasad, hamulców moralnych, nakazów etycznych, jakimi żyły pokolenia na głębokiej francuskiej prowincji. Nazywano to „uświadomieniem".

Wolne od wszelkich więzów tradycji, doskonale u ś w i a d o m i o n e, wstępowało pokolenie Fontenoy w świat, zaczynając od podstaw budowę swego stosunku do życia. Każdy miał siebie za doskonały wytwór przeszłych wieków, które powoli, żmudnie złożyły się w swym historycznym wysiłku na powstanie właśnie tej jego, a nie innej indywidualności. Toteż obowiązkiem każdego było pozwolić wyżyć się jej w pełni — jest bowiem jedna, jedyna i niepowtarzalna, a więc cenna ponad wszystko. Tak ich uczono, a oni wierzyli w to, co napisane.

Pisze, jak ogromny, decydujący wpływ miała na niego lektura pism Gide'a — w negatywnym, przeczącym wszystkiemu sensie. Książkę jego „P a l u d e s" przeczytał dziesięć razy między 18 a 25 rokiem życia. Porywała ich wszystkich zuchwalstwem, bezinteresownym buntem płynącym z wewnętrznego, nieprzezwyciężalnego nakazu. „Całe zło wynikło stąd, że moje skromne, jak to się mówi, pochodzenie, nie przekazało mi subtelnego sceptyzmu, jaki daje dziedzictwo mieszczańskie. Wychowanie w świecie mieszczańskim polega — nieprawdaż — na wpajaniu w młodzieńców..., że słów należy używać w ten sposob, by przekonać i wykiwać sąsiada, ale kiwając innego nie dać się wykiwać samemu". Ani Fontenoy, ani wszyscy, w których imieniu się skarży, nie przeszli tego przeszkolenia — brali słowa wprost, w ich właściwym sensie. „Zaczęliśmy więc od zera, od wiary w słowa, od naszej chłopskiej pokory i od tych pojęć, mówiących całą resztę: Murzyn czy nie murzyn, bogaty czy biedny, piękny czy brzydki, człowiek jest zawsze człowiekiem. Ma w sobie zawsze minimum człowieczeństwa. Więc cóż — wszyscy ludzie są siebie nawzajem warci... Ale dziś czytam w „C a h i e r s" Gide'a, że należy kultywować różnice pomiędzy ludźmi. I że niedobrze mówić całą prawdę. I że najważniejszym jest, by wątroba dobrze funkcjonowała i by radowało ciebie słońce... Przemawiam więc w imię głupców przeciwko temu Stawiskiemu inteligencji".

Takie volte-face ze strony Gide'a, intelektualnego smakosza i estety, choć zapewne szczere i wewnętrznie uzasadnione, może być potraktowane jako gest olimpijskiej pogardy w stosunku do maluczkich duchem. Zwłaszcza, że Gide, może niechcący, zdradza się z tą pogardą, a przy jego „grubomieszczańskim" pochodzeniu musi to razić podwójnie — i razi. „Jadalnia — obrzydliwe słowo — pisał w swym dzienniku. Może dla niego, wyrafinowanego pięknoducha — ale nie dla tych wszystkich, których reprezentuje Fontenoy. „Jeść jest to mało poetyczne? Mało poetyczne mówić o tym? Ach, myśmy nie odczuwali tego nigdy... Zapewne dlatego, że dla nas jedzenie miało zupełnie inny sens, niż dla tego bogatego pisarza, i że kawałek chleba, „jajatte" przedstawiały naprawdę, najrealniej, przez swą rzeczywistą obecność, trudy poprzedniego dnia i dzisiejszego poranku". „Dlatego są tak zdecydowanie konserwatywni, że uświadamiają sobie swoje wielkie ubóstwo ducha" — powiedział Gide gdzieindziej. „Zapewne" — replikuje Fontenoy. — „I odnosi się to do czterdziestu milionów Francuzów, którzy nie żyją konstrukcjami rozumu i żyć nimi nie potrafią. Ale żyją pod określonym niebem, wraz z innymi niedoskonałymi istotami, w pewnej rzeczywistości, w pewnej jedności duchowej, łagodności zorganizowanej, żyją tak i owak, i nie chcą, by im to burzył logik rewolucyjny. Rozwali wszystko, porzuci ich nagich na gnoju, aby potem, ujawszy swoje piszczałki, mówić do tych pustych brzuchów, do tych sierot: „Umyjcie winem skronie i tańczcie, kochani, na słońcu, na łąkach w kwieciu...". A łąki te gdzie będą?".

Ta kontrowarsja pomiędzy pisarzem a czytelnikiem ma wysoce dramatyczne znamiona. To co pisarz uważał dotąd za swoją własną intelektualną przygodę, pada na ulicę i tam nabiera samoistnego życia. On, który nie pretendował nigdy do roli proroka ani przywódcy, z racji swej wysokiej rangi pisarskiej staje się autorytetem i jako taki działa. Ale działa niszczycielsko na tych właśnie maluczkich, których chciał podnieść, oświecić, „uświadomić" — i z mistrza przeobraża się w oskarżonego. Zawód pisarza traktował dotąd jako prywatną sprawę, swą literaturę jako odbicie własnych przeżyć, którym dawał niczym nieograniczony upust, nie licząc się z tym, jaki będzie miała oddźwięk w masach — może nie ufając w siłę swojego słowa. Jednak w chwilach rozprężenia dziejowego słowo działa znacznie intensywniej, niż w okresach stabilizacji, jest nie tylko materiałem twórczym — łatwiej niż kiedykolwiek stać się może hasłem i programem. Gide odpowiedzialność za słowa uświadomił sobie zbyt późno i ostatnia jego książka jest tej odpowiedzialności wyrazem.

Fontenoy także był w Moskwie. Był jeszcze dalej, bo w Chinach — tych zrewoltowanych, rozprężonych Chinach, które opisuje Malraux. Tak samo jak Gide, nie znalazł tam tego, czego szukał — a trzeba przyznać, że szukał o wiele wytrwalej i dłużej, bo całe lata, biorąc sam bezpośredni udział w budowie państwa socjalistycznego. Nie była to już komfortowa wycieczka europejskiego turysty i sympatyka, ale próba życia się z nową rzeczywistością, podjęta przez gorącego idealistę. Próba się nie udała. Swój błąd okupił Fontenoy drożej, bo latami straconej młodości i daremnych wysiłków, a nie cienkim tomem reportaży, rozchodzącym się w setkach wydań. Dlatego jego świadectwo jest dla nas miarodajniejsze i, gdy stwierdza bankructwo tych wszystkich podstaw, na jakich marksizm chciał budować swoją kulturę, wierzymy raczej jemu, niż Gide'owi, który źródło niepowodzeń widzi tylko w metodach rządzenia obecnych władców Rosji.

VI.

Jakież należy wyciągnąć wnioski z tego przeglądu ostatnich francuskich wydawnictw o Sowietach i komunizmie? Nasuwają się chyba same. Dominantą jest w nich już nawet nie krytycyzm, tak właściwy umysłowi francuskiemu, ale rozczarowanie, rozgoryczenie, sarkazm. Krytyka może mieć miejsce wtedy, gdy jest nadzieja poprawy, gdy widzi się drogi, mogące prowadzić ku lepszemu — tutaj panuje beznadziejność, pesymizm, rezygnacja. A piszący to przecież ludzie, których nie można pomawiać o jakąś stronniczość, o faszystowskie i reakcyjne tendencje — poza Gidem są to proletariusze, mający radykalizm społeczny w żyłach, do niedawna gorący wyznawcy komunistycznej doktryny. Cóż miałyby oznaczać te nawrócenia czy odstępstwa — jak kto woli? Kto wie, czy nie oznaczają, że największe nasilenie popularności komunizmu we Francji właśnie w tej chwili mija, że bankructwo praktyki komunistycznej w Rosji wywoływać zaczyna coraz silniejszą reakcję poza jej granicami i że należy się spodziewać coraz liczniejszych odstępstw już nie spośród elity, ale spośród najszerszych robotniczych mas. Trzeźwo myślący proletariusz pewnego dnia dojdzie wreszcie do odkrycia tej prawdy, że może być coś jeszcze gorszego od kapitalizmu na świecie. I potem w pewnej chwili zrozumie, że tym czymś gorszym może być tylko komunizm.

[1]) Louis-Ferdinand Céline: Mea culpa, Denoel et Steele, 1937.

[1]) Jacques Doriot: La France ne sera pas un pays d' esclaves. (Ed. les Oeuvres françaises 1936.).

[1]) Jean Fontenoy: L'Ecole du renégat, N. R. F. 1936.